

# Emerald

*#KamienieMiami*

FORTUNATEEM

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Barbara Lepionka  
Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock

Helion S.A.  
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice  
tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63  
e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)  
WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!  
Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres  
<http://editio.pl/user/opinie/emeral>  
Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-7899-5

Copyright © FortunateEm 2021

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

# Rozdział 1

Gdy wybija osiemnasta, stoję w łazience dla personelu wciśnięta w pończochy, dziesięciocentymetrowe szpilki i czarną sukienkę. Materiał przylega do ciała, ma długie rękawy, a ramiona i dekolt są odkryte. Sukienka kończy się jakieś trzy centymetry nad kolanem, więc nie widać pończoch. Wyglądam w porządku, moja mocno wycięta talia dobrze się prezentuje w tego typu ubraniach. To dla mnie nowość, gdyż przeważnie w każdej sukience dotąd wyglądałam do dupy.

— Val? — pyta Jerry zza drzwi. — Jesteś gotowa?

— Tak — odpowiadam. — Wejdz tu.

Nie mija sekunda, a drzwi do łazienki gwałtownie się otwierają. Staje w nich mój szef i po prostu gapi się jak cielę na malowane wrota, a ja czuję zażenowanie. Nie widział mnie jeszcze w takim wydaniu. Chyba nikt mnie nie widział, bo tak obcisłe kiecki zdecydowanie nie zapełniają mojej szafy. Preferuję spodnie, najlepiej dresowe, koszulki bądź bluzy o rozmiar większe i co najważniejsze — brak biustonosza. Moje piersi są na tyle duże, bym nie czuła się jak niewyrośnięty chłopiec, i na tyle małe, by nie wyglądały wyzywająco i dziwkarsko. Wygrałam je na loterii.

— Wyglądasz jak milion docłów — komentuje mój oniemiały szef. — Jak możesz zakrywać tę talię bluzami? Jesteś psychicznie chora? Ja pierdolę, takie ciało! — ekscytuje się, wprawiając mnie w niemałe zakłopotanie.

Nie sądziłam, że będzie taki... szczerze zachwycony.

— Jesteś idiotą — mówię.

— Wiem, nie zacząłem się ślinić na twój widok w odpowiednim momencie i przegapiłem taką okazję... — wzdycha. — Zdejmij stanik.

— Co? — Unoszę brwi w zdziwieniu.

— No zdejmij. Do takiej sukienki nie pasują ramiączka. Odwróć się, a ty go zdejmij.

— Nie mam nakładek na sutki — protestuję. To, że lubię chodzić bez stanika pod bluzą lub koszulką, pod którą nic nie widać, nie znaczy, że przy takiej obcisłej sukience będę mieć tyle samo odwagi! No, szanujmy się. Nie jadę uwieść solenizanta, tylko pokroić mu tort. — Wyjdę na łatwą — dodaję z przekąsem.

Jerry patrzy na mnie z politowaniem i unosi brwi.

— Nieprawda, będę tam zdychać z podniecenia — oznajmia ze śmiechem. — Ja już zdycham.

— Lecz się.

Odwracam się do niego tyłem i bez przekonania pozbywam się stanika. Moje sutki przebijają przez dzianinowy materiał. Widać je doskonale z powodu kulek, które mam w nie wkręcone. Cholera. Odkładam stanik na półkę, gdzie leżą moją standardowe ubrania, i zrzucam z nóg szpilki. Nie mam zamiaru w nich iść. Przy mojej zabójczej koordynacji ruchowej wywaliłabym tort na solenizanta.

Drzwiczki prowadzące z zaplecza do kuchni skrzypią, więc natychmiast spoglądam w tamtym kierunku. Stanley stoi z rękami założonymi na szerokiej klatce piersiowej i uważnie przygląda się Jerry'emu. Wygląda groźnie.

— Reece? — odzywa się głębokim, ostrzegawczym tonem. — Gotowi?

Jęczę na fakt, że to już, a ja nie mam choćby nakładek na sutki, i odwracam się całym ciałem w stronę mężczyzny. Dopiero po chwili jego oczy lądują na mnie. A konkretniej na mojej głowie, gdzie wciąż sterczą dwa kucyki przypominające palemki. Uwielbiam je.

— Rozpuść włosy — mówi. — I gdzie masz buty?

— Wezmę swoje, bo w tych nie przejdę z tortem nawet kroku. — Wskazuję na niebotycznie wysokie szpilki z logo jakiejś drogiej marki na obcasie. — Jestem trochę ciamajdą — przyznaję niechętnie.

— W sumie nie są ci potrzebne — stwierdza, uśmiechając się półgębkiem. — Masz strasznie chude nogi. Cała jesteś chuda. Reece nie pozwala ci podjadać?

Przewracam oczami, na co mój szef zabiera głos, czym wywołuje rumieńce na mojej twarzy:

— Valerio, czy ty masz kolczyki w sutkach?!

Ja pierdolę. Mógłby czasem zamknąć usta na dłużej niż kilka sekund. Spoglądam na niego morderczo, bo nie chcę, by Stanley również zwrócił uwagę na moje piersi, i unoszę rękę, żeby chlasnąć mojego szefa w głowę, ale w ostatnim momencie zaciskam dłoń w pięść. Jestem damą.

— Wychodzę — oznajmiam.

Ze zniesmaczonym wyrazem twarzy mijam Jerry'ego i wracam do kuchni, w której grzecznie stoją moje trapezy. Zakładam je szybko i prostuję się, gdy Jerry gwizdże. Spoglądam na niego przez ramię i dopiero gdy dostrzegam jego wzrok, orientuję się, że widzi pończochy. Moje zażenowanie sięga zenitu. On już wcale a wcale mi się nie podoba. Jest cholernym kretynem i pieprzonym troglodytą.

— Włosy, dziewczyno — mówi beznamiętnie Stanley, gdy go mijam.

Łapię obie gumki, które tworzą moje palmy, i zdejmuję, a następnie stroszę włosy, by wróciły do swojej normalnej niechlujnej niechlujności. Kocham je za to, że zawsze się dobrze układają, gdy są po myciu i suszeniu bez sztucznego powietrza. Włosy też wygrałam na loterii. Szkoda, że nie szefa.

— Świetnie. Idziemy, bo mam niecałe dwadzieścia pięć minut, żeby dostarczyć cię do kuchni. Wezmę to ciasto, gdzie jest?

— Zaraz, chwila, moment. — Krzywię się.

Kieruję się do chłodni, gdzie moje ciasto grzecznie tężeje, i z lekkim uśmiechem wyciągam je na wolność. Przechodzę do swojego cukierniczego blatu i ostrożnie kładę tort na dnie pojemnika. Na pierwszy



rzut oka wszystko wydaje się idealne, więc skaczę w duchu. Lubię wiedzieć, że nie zawałam sprawy i mój wypiek jest perfekcyjny.

— Wygląda imponująco — komentuje Stanley.

— Dziękuję — odpowiadam, szczerząc się.

Przykrywam ciasto głębokim wieczkiem i zabezpieczam boki, by dowieźć tort w nienaruszonym stanie. Gdy jestem pewna bezpieczeństwa, przesuwam ciasto w stronę mężczyzny i z szuflady ze świeczkami wyjmuję dwa zimne ognie. Będą wyglądać idealnie.

— Które to są urodziny? — pytam.

— Tajemnica służbowa. — Stanley uśmiecha się. — Chodź.

Odwraca się w stronę wyjścia i wraz z moim tortem spokojnie wychodzi. Odbieram od Jerry'ego kurtkę i uśmiecham się złośliwie, bo nie może oderwać ode mnie wzroku. Zawsze traktował mnie jak młodszą siostrę, więc niech teraz sobie popatrzy. Cholerny jaskiniowiec.

— Pośliniłeś się, Reece — komentuję, unosząc kpiąco brew.

— Jestem tego w pełni świadomy. — Oblizuje wargę. — Jak to możliwe, że ukrywałaś takie ciało? Nie przeboleję tego i w nocy nie będę mógł spać. Jesteś wredna.

— A ty jesteś płytki — pryham.

— Jestem wzrokowcem. A ty masz kolczyki w sutkach — jęczy. — To jest takie gorące! Nie wyglądasz na zadziore, jesteś zbyt słodka na co dzień, żebym cię posądził o taką dzikość, młoda.

— Opuszczam to miejsce, Reece.

— Będę czekał, aż wrócisz w tej seksownej kiece. — Mruga zalotnie.

A mnie się robi ciepło. Niestety on nadal mi się podoba. Ugh. Zapinam kurtkę i kręcąc głową, wychodzę. Kieruję się do głównych drzwi i zaraz staję przed czarnym samochodem, który wygląda na obrzydliwie drogi. Chciałabym wiedzieć, co to za marka, ale zawsze byłam w tym słaba. Nie interesuję się motoryzacją nawet w stopniu amatora. Gdy ktoś chwali się nowym samochodem, jedyne, co mnie ciekawi, to jego kolor.

— Położyłem ciasto w bagażniku — mówi Stanley.

Otwiera mi drzwi od strony pasażera, a ja nie mam pojęcia, co powiedzieć. Luksus, który we mnie uderza, przytłacza. Całe wnętrze pojazdu wykonano z czarnej skóry, a zapach w środku jest cholernie męski. Podoba mi się, ale nie jakoś szalenie.

— Mogę zadać dwa pytania? — Spoglądam na mężczyznę.

— Jak wsiądziesz, zapniesz pasy i pozwolisz mi ruszyć.

— Okej. — Uśmiecham się.

Zajmuję miejsce pasażera, wykonuję resztę poleceń i czekam, aż Stanley usiądzie obok mnie. Po tym odpala silnik i delikatnie rusza. Dźwięk silnika jest niebywale przyjemny, czym jestem zaskoczona.

— Pierwsze pytanie.

— Co to za samochód?

— Bentley mulsanne. — Uśmiecha się półgębkiem.

To raczej jeden z tych uśmiechów, które mają oznaczać wyższość, ale nie oceniam.

— Jest twój?

— Nie, szefa, ale tylko ja nim jeżdżę — mówi.

— Okej. Dzięki za info.

— Proszę bardzo — wzdycha. — Zrobisz coś dla mnie?

— Nie wiem, zależy co takiego. — Unoszę brew.

— Podaj ten tort bez butów. — Spogląda na mnie kątem oka.

— Taki miałam zamiar — przyznaję. — W butach będę wyglądać jak kretynka. A bez nich jak dziwaczka. Już chyba wolę być dziwna.

— Śmieję się.

— Świetnie — komentuje. Jego głos wydaje się lekko rozbawiony.

Reszta drogi mija nam w ciszy. Rozglądam się dookoła, ale niestety nie poznaję okolicy. Może to sprawa śniegu, a może faktu, że jest ciemno? Czegóż z tych dwóch na pewno. Chwilę później skręcamy w prawo, prosto w otwierającą się powoli kolosalnych rozmiarów bramę. Gdy ją mijamy, moim oczom ukazuje się oświetlona mnóstwem lamp droga, która prowadzi do... zamku? Dom, a raczej willa, wygląda jak pieprzone zamczysko. Jestem pod wrażeniem. Pod ogromnym wrażeniem, jeśli miałabym być szczerą. Aż otwieram buzię.

— Nie zaślń mi tapicerki, dziewczyno — mruczy Stanley.

— To zamek? — piszczę.

— Nie, to dom mojego szefa.

Kieruje się w stronę zjazdu w podziemia, kilka metrów przed głównym podwórkiem tej pieprzonej majestatycznej majestatyczności. Zatrzymujemy się zaraz przy wejściu, obok kilkunastu samochodów podobnych do tego, którym przyjechałam. Bogactwo wylewa się z każdego kąta i nie wiem, czy bardziej mnie to przeraża, czy jedynie przytłacza.

— To są samochody gości, tak?

— Nie, te są szefa — mówi bez żadnej emocji.

Zupełnie, jakby to było, kurwa, normalne. Jestem skonsternowana. Wokół nas jest przynajmniej dwadzieścia lśniących pojazdów. Kto kupuje tyle samochodów?!

— Kim jest twój szef?

— Tajemnica.

— Okej. — Kiwam głową. — Ale jest jakimś królem czy coś? Miasto jest jego?

— Zostaw pytania na następny raz, dziewczyno. — Śmieje się pu-  
sto. — Idziemy.

Wysiada z samochodu, a ja jestem zmuszona zrobić to samo. Wychodzę na parking i rozglądam się. Wszystkie samochody są czarne. To dziwne. Chciałabym znać wartość całego tego garażu, ale podejrzewam, że kwota by mnie poraziła. Duże liczby w matematyce zawsze przyprawiły mnie o zawrót głowy.

— Zapraszam na górę — mówi Stanley.

Z tortem w dłoniach kieruje się do wejścia, a ja idę obok niego. Otwieram drzwi i wchodzimy do... domu? Pałacu? Tak, *pałac* to dobre określenie. Więc wchodzimy do pałacu i momentalnie uderza we mnie kolejny męski zapach. Tyle że ten przyprawia mnie o gęsią skórę. Wydaje się surowy i niebezpieczny. Nie rozumiem tego dziwnego uczucia, które się we mnie rodzi. Powinnam uciekać? Cholerka.

Ruszamy po schodach na górę, gdzie zapach jest mocniejszy, i kierujemy się przez ciemne pomieszczenie prosto przed siebie. Nie mam



pojęcia, co znajduje się wokół mnie, bo patrzę pod nogi, by się nie wywalić. Dopiero za drzwiami robi się jasno i widzę dość długi, gustownie urządzony korytarz. Nie mam czasu, by skupić się na detalach, ale całość bardzo imponuje. Nie ma przepychu.

Po chwili trafiamy do kuchni. Kilkadziesiąt osób biega w niej tam i z powrotem i nawet nie zwraca na nas uwagi. Stanley kładzie tort na wózku, na którego półce ułożono mnóstwo talerzy, i od razu go odkrywa. Nic mu się nie stało podczas drogi, więc oddycham z ulgą.

— Reszta należy do ciebie. — Spogląda na mnie.

Uśmiecham się z grzeczności i zdejmuję kurtkę, którą Stanley, jak na dobrze wychowanego mężczyznę przystało, odbiera ode mnie. Dziękuję cicho i zabieram się za mój tort. Wbijam odrobinę mocniej orzechowe kulki w krem i wsuwam zimne ognie w sam środek. Końcowy efekt szczerze mnie zadowala.

— No, no — jęczy Troy, który nagle wpada do pomieszczenia. — Cóż za cudeńko!

Uśmiecham się na jego komentarz i robię szybki ukłon, po którym cicho chichoczę. Stanley patrzy na mnie z zaciekawieniem, a Troy gwizdże z uznaniem.

— Czyli gotowe — dodaje. — A ty masz nos czerwony z zimna.

— Wszyscy są na sali? — pyta Stanley.

— Tak, czekają na tort.

— Okej, to ty idziesz z dziewczyną, a ja ruszam do szefa.

— Spoko.

Stanley wychodzi, a ja nie zwracając uwagi na Troya, zdejmuję buty. Przygląda mi się uważnie, czuję jego oczy dosłownie wszędzie, co mnie lekko krępuje.

— Gdzie masz szpilki? — pyta w końcu.

— Nie mam?

— Pójdiesz w tym czymś, co masz na nogach? — Śmieje się głupio.

— To są pończochy. — Marszczę brwi. — I tak, to jakiś problem?

— Nie, ale jak staniesz koło solenizanta, to będziesz mu sięgała ledwo ramienia. Jesteś mała.

Przewracam oczami.

— Daj mi zapalniczkę, co?

Wyciąga przedmiot z kieszeni z cwaniackim uśmiechem, a ja ponownie przewracam oczami. Kiwam głową, by zaprowadził nas do tego tajemniczego szefa, i pragnę, żeby zamilkł. Jest cholernie rozba-  
wiony, a ja zaczynam się bezpodstawnie stresować.

Troy kieruje się w stronę drzwi naprzeciwko tych, którymi tutaj weszłam, a ja pcham wózek z tortem. Staram się być pewna siebie, ale gdy drzwi się otwierają i dostrzegam mnóstwo facetów w garniturach, robi mi się niedobrze. Sala jest kolosalnych rozmiarów, a na samym jej środku, pod wielkim, bogato zdobionym żyrandolem, stoi barczysty mężczyzna. Goście tworzą wokół niego półokrąg i obserwują każdy mój ruch. Ja pierdolę.

— Wszystkiego najlepszego, Vincent! — krzyczy Troy zza moich pleców, na co podskakuję z przerażeniem.

Kto się drze do ucha osobie, która prowadzi tort?! Tylko skończony kretyn!

Zatrzymuję się metr od mężczyzny, któremu wszyscy biją brawo, i niepewnie spoglądam na jego twarz. Przesuwam się spokojnie wzrokiem po jego białej koszuli, kawałku tatuażu na szyi, oprószonej czarnym zarostem brodzie, pełnych ustach, nosie z kolczykiem w lewej przegrodzie i w końcu zatrzymuję się na oczach. Ogromnych, ciemno-brązowych oczach, które uważnie mnie obserwują. Zupełnie jakbym była ofiarą, a on miał się na mnie rzucić w chwili, gdy zrobię nieprze-myślany krok. Przygryzam wargę z nerwów i nie wiem, co mam robić. Jego wzrok mnie przytłacza, jest cholernie przerażający i jednocześnie magnetyzujący. Ma piękne oczy i widzę w nich coś, co wzbudza we mnie nostalgię. Mimo tej chłodnej aury i złowieszczonego dreszczyku odnoszę nieodparte wrażenie, że z kimś mi się kojarzą.

Po kilkusekundowym zawieszeniu zdaję sobie sprawę z faktu, że nie zapaliłam zimnych ogni. Mruczę pod nosem z irytacją i w końcu wracam na cholerną ziemię. Odpalam końce fontann i robię krok w tył, gdy wszyscy zgromadzeni w dalszym ciągu biją brawo. Wgapiam się w iskry

idące z patyczków i walczę, by nie unieść wzroku wyżej. Czuję, jak intensywne jest jego spojrzenie, niemal wypala we mnie dziurę. To jest, kurwa, strasznie niemiłe.

Gdy iskry się kończą, robię krok w przód. Wyciągam wypalone ozdoby i kładę na talerzyku, na którym spoczywa nóż. Chwytam go i próbując się skupić, zatapiam go w szklance z ciepłą wodą. Następnie lekko nim potrząsam, pozbywając się nadmiaru wody, i przystępuję do działania. Wbijam nóż w środek tortu i ciągnę w dół, do połowy, gdzie ciasto jest połączone specjalną tacką. Odkrawam pierwszy, najgrubszy kawałek i używając łopatki, wyciągam. Kładę go na talerzyku, który Troy podstawia pod moje palce, i uśmiecham się do niego, bo lubię, gdy ktoś mi pomaga. Chcę ukroić kolejny kawałek i jak najszybciej się ewakuować, ale szatyn trzymający talerz kopie mnie w kostkę. Spoglądam na niego z wyrzutem, a on spojrzeniem próbuje mi przekazać, że mam podać tort... Vincentowi. Zaciskam zęby. Nie chcę tego robić. Szalenie nie chcę, ale czuję, że muszę. Jego spojrzenie jest ostrzegawcze, a ja niestety czuję zagrożenie. Odkładam więc nóż z westchnieniem, a dłonie z przyzwyczajenia ocieram o biodra i wytrzeszczam oczy, gdy orientuję się, że ubrudziłam sukienkę.

— Valerio... — parska śmiechem Troy.

— Ani słowa. — Krzywię się.

Odbieram talerz z jego rąk i zwracam się do szefa z niepewnym uśmiechem. Jego tęczęwki nie opuściły mnie ani na moment. Dalej onieśmielająco mnie obserwuje. Cholera, drżą mi dłonie, gdy wyciągam je w jego stronę.

— Wszystkiego najlepszego? — mówię.

Przesuwa spojrzeniem po moim ciele w dół i zaraz wraca, zatrzymując się na moment na torcie. Patrzy na niego dosłownie kilka sekund i ponownie wbija oczy w moją twarz. Leniwie przesuwa językiem po wardze i dopiero po tym wyciąga dłoń po talerz. Nie dotyka moich palców, co lekko mnie konsternuje, ale i cieszy. Nie chcę mieć z nim żadnego kontaktu fizycznego, jest kurewsko przerażający.

— Dzięki — odzywa się w końcu.

Jego głos jest niski i powoduje szybsze bicie mojego serca. Wskaźnik bycia przerażającym przekroczył skalę.

Jestem lekko sparaliżowana, ale nie chcę się błąźnić, więc wracam do tortu. Zajmuję się krojeniem i za wszelką cenę próbuję się na tym skupić. Przeszkadzają mi w tym nachalne, brązowe tęczęwki, ale udaje mi się nie odciąć żadnego palca. Tworzę równe, w miarę cienkie kawałki, a Troy podstawia mi talerze i podaje gościom. Stanley stoi obok solenizanta i prowadzi z nim rozmowę, która nie dociera do mojego mózgu, zbyt zajętego ignorowaniem ciężącego spojrzenia.

Po torcie zostają miłe wspomnienia. Wycieram ręce o siebie po raz drugi i po raz drugi pragnę uderzyć się w czoło.

— Cholera — buczę pod nosem.

Troy wybucha śmiechem na moją głupotę, a Stanley jedynie parska. Pragnę się zapaść pod ziemię, ale nie jest mi to dane. Nie zostałam stworzona do wytwornego krojenia tortów. Ja je piekę, a nie podaję. Unośzę wzrok najpierw na Troya, następnie przesuwam go na Stanleya, a na końcu zbieram się w sobie i patrzę na Vincenta. Ma uniesioną brew.

— Przepraszam, że pobrudziłam sukienkę — mówię ze skruchą. — Zaznaczałam, że jestem ciamajdą. I że nie nadaję się do przedstawień, powinnam mieć fartuch.

— Powinnaś — odzywa się swoim głębokim głosem. — Ale nie masz.

— To był błąd — zauważam i uśmiecham się.

W sumie to chce mi się śmiać. Chwilami moja głupota sięga wyżyn.

— Nie, zdecydowanie nie. — Oblizuje wargę. — Czekam na ciebie przy stoliku — oznajmia, jakby to było coś oczywistego.

Po tym oddaje talerz Stanleyowi i odchodzi. Patrzę na jego szerokie ramiona i nie wiem, co się właśnie stało. Będę się nad tym rozwodzić zaraz po tym, gdy skończę wdychać do szerokości jego ramion. Są strasznie szerokie. A jego biodra ogromnie wąskie. I jest wysoki i lekko zgarbiony. Porusza się z niebywałym wdziękiem.

— Bierz wózek i idziemy cię ogarnąć — mówi Stanley, wrywając mnie z otępienia.

Potrząsam głową, by dobrze zrozumieć jego słowa, i wykonuję polecenie. Zawracam wózkami w stronę kuchni i po prostu się tam kieruję. Brunet kroczy zaraz za mną i szepcze coś do swojego kołnierza. Wygląda jak gangster z filmu. Z tego też chce mi się śmiać.

Parkuję wózek obok dwóch innych, na których stoją brudne talerze, i opieram o niego dłonie. Jestem spięta i bardzo bym chciała być już w domu. Mam ochotę iść spać, bo w dalszym ciągu moja głowa odczuwa skutki nadmiaru alkoholu.

— Masz — mówi Stanley.

Spoglądam na niego kątem oka i widzę paczkę mokrych chusteczek, które wyciąga w moją stronę. Uśmiecham się szeroko i biorę dwie, a następnie wycieram resztki tortu z sukienki i z dłoni. Śmieję się pod nosem z własnej głupoty, a po skończonej czynności odkładam chusteczki na talerz obok noża.

— Odwieziesz mnie do cukierni? — pytam z nadzieją.

— Nie. — Krzywi się. — Masz iść do stolika, nie słyszałaś?

— Po co?

— Nie wiem. — Wzrusza ramionami. — Powiedział, że czeka, więc idź do niego.

— To jest konieczne?

— Tak.

Bez ostrzeżenia łapie mnie za nadgarstek i ciągnie w stronę wyjścia. Jestem na tyle zaskoczona, że nie reaguję aż do drzwi. Na sali wyrывam rękę, przez co spogląda na mnie ostrzegawczo. Jego postawa jest przerażająca.

— Możesz mnie puścić, umiem sama chodzić — oznajmiam.

Bez słowa puszcza mój nadgarstek i zwalnia, bym szła obok niego. Nikt ze zgromadzonych nie zwraca na nas uwagi, to znaczy nikt poza solenizantem, który znów na mnie patrzy. Próbuję znaleźć go wzrokiem i nie okazuje się to niczym trudnym. Siedzi na środku w towarzystwie Troya, który żywo coś do niego mówi. Nie wydaje się jednak zainteresowany. Patrzy prosto w moje oczy. A ja patrzę w jego i nie mogę przestać. Zajebicie. Docieramy do nich po kilkunastu krokach.

Troy bez słowa wstaje ze swojego miejsca i razem ze Stanleyem zaczynają się wycofywać.

— Hej — protestuję. — Gdzie was później znajdę?

— Nie martw się tym — zbywa mnie brunet.

Aha. Cudownie. Odchodzą, a ja stoję jak kretyńka obok mężczyzny, który zabija mnie wzrokiem. Przenoszę na niego zdenerwowane spojrzenie i zaciskam usta. Głębia jego oczu pochłania mnie w taki sam sposób jak pięć minut temu. Co on ma w tych oczach? Mógłby przestać się na mnie gapić.

— Więc... — zaczynam.

— Usiądź.

Pragnę powiedzieć, że nie mam ochoty, ale nie mogę. Zajmuję miejsce na krześle, które dla mnie odsunął, i oddycham głęboko, zanim zbiorę się na odwagę i spojrzę na jego twarz, tym razem z dołu. Jestem bliżej niż wcześniej, przez co doskonale czuję jego mocny zapach. Drażni moje nozdrza w bardzo przyjemny sposób. Tak właściwie to... Jest zaledwie pół metra ode mnie i mogę mu się dokładnie przyjrzeć. Skoro sam nic nie mówi... Cóż. Zaczynam swoją wędrówkę od jego włosów. Są kruczoczarne i lekko roztrzepane. Boki ma wygolone, a na skroni widać dość duży tatuaż przedstawiający skrzydło i nachodzący na ucho. Przenoszę zainteresowanie na brwi i automatycznie przygryzam wargę, gdy dostrzegam bliznę na jednej z nich. Nie mam pojęcia dlaczego, ale cholernie mnie pociągają takie detale. Widzę również niewielkich rozmiarów bliznę na jego czole, która wygląda na źle zszytą.

— Nie przygryzaj — mówi w końcu.

Momentalnie spoglądam w jego brązowe oczy i wypuszczam wargę spomiędzy zębów. Nie mam pojęcia, dlaczego go słucham. Nie powinien mi mówić, co mam robić. Kimkolwiek jest i skądkolwiek się wziął.

— Po co tutaj jestem? — pytam.

— Napij się ze mną.

Nie żeby zapytał czy coś. Po prostu mówi, że się napiję, i oczekuje, że to zrobię. Okej, jeśli chce, żebym puściła na niego pawia, to pewnie, nie odmówię.



— Na co masz ochotę?

— Na wodę. — Wydymam wargę. — Nie mogę pić alkoholu.

— Z jakiego powodu?

— Z powodu kaca. — Śmieję się.

Stres spowodowany przez niego daje mi się we znaki. Niedobrze. Bardzo niedobrze.

— Jeden kieliszek cię nie zabije — stwierdza nonszalancko.

Wyciąga dłoń po dwa puste kieliszki i stawia je przed nami. Następnie sięga po kryształową butelkę wypełnioną przezroczystym płynem i nalewa do samego brzegu. Na sam zapach trunku wnętrzości podjeżdżają mi do gardła. Śmierdzi niemilosiernie. Zapewne dlatego, że wódka jest obrzydliwie droga. Odstawia butelkę na stolik i delikatnie unosi kieliszki. Prawą rękę wyciąga w moją stronę, a ja wykrzywiam usta. Zwymiotuję, jeśli się tego napiję, jestem pewna.

— Muszę? — pytam.

— Zdecydowanie.

Biorę kieliszek z ociąganiem i prostuję się, przez co moje piersi zwracają jego uwagę. Nie trwa to jednak długo. Zaraz wraca do moich oczu i nic sobie nie robi z tego, że przyłapałam go gapiącego się na moje cycki.

— Twoje zdrowie — mówi tajemniczo.

— Raczej twoje. — Marszczę nos.

Stukam swoim kieliszkiem o jego i równocześnie zerujemy. Pałaca, obrzydliwa w smaku ciecz przepala moje gardło, powodując niesmak i chęć krzyku. Odstawiam kieliszek na blat i od razu chwytam szklanekę wypełnioną sokiem pomarańczowym. Wypijam całą zawartość, zanim wódka zaczyna wracać, i z jękiem odkładam naczynie na stół. Mężczyzna przygląda mi się z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Chciałabym stwierdzić, że jest rozbawiony, ale jego twarz nie wyraża niczego, całkowicie pozbawiona emocji. Przechyliłam głowę w prawo, przecierając usta wierzchem dłoni, i staram się walczyć z jego spojrzeniem, ale przegrywam. Parskam śmiechem i zakrywam twarz dłońmi, by na chwilę się od niego uwolnić. Nie trwa to jednak długo. Łapie moje nadgarstki w swoje

duże, ciepłe dłonie i odsuwa. Paraliżują mnie dreszcze, które czuję pod wpływem jego dotyku. Nie mam pojęcia, co się dzieje.

— Nie chowaj się przede mną — mówi łagodnie.

Jego głos jest zimny, pozbawiony emocji, ale barwa działa na mnie zaskakująco dobrze. Podoba mi się, nawet bardzo, i gdyby nie pluł takim lodem, z chęcią słuchałabym, jak do mnie mówi.

— Więc które to urodziny? — pytam.

Delikatnie wyswobadzam nadgarstki z jego uścisku i kładę je na swoich udach. Pocieram je miarowo i zagryzam wargę, gdy jego milczenie zaczyna mnie frustrować. Chciałabym, żeby mówił, a nie gapił się jak psychopata. Albo seryjny morderca, który czai się na ofiarę.

— A jak ci się wydaje? — Unosi brew.

Przyglądam się badawczo jego surowej twarzy i staram się poszukać czegoś, co zdradzałoby jego wiek. Nie ma jednak takich znaków. Zmarszczki ma jedynie na czole, gdy porusza brwiami.

— Trzydzieste?

— Dwudzieste ósme — poprawia mnie.

— Wybacz, nie chciałam cię postarzać. — Uśmiecham się lekko. — Co roku odbywa się tutaj tak kolosalne przyjęcie? W ogóle co to za część miasta? Nie widziałam nigdy tego budynku, a wydawało mi się, że zwiedziłam już każdy zakamarek. Takiego zamczyska na pewno bym nie przeoczyła.

— Zamczyska?

Bawi mnie jego mina, więc cicho się śmieję.

— Naśmiewasz się ze mnie?

Spoglądam na niego z uśmiechem, w ogóle nie przejmując się niezidentyfikowanymi, negatywnymi wibracjami jego głosu, i pochylam się nieznacznie w jego stronę. Wygląda na zdziwionego, ale nie jestem tego pewna.

— Tak, bo zrobiłeś śmieszna minę — przyznaję. — Ten dom, a raczej willa, wygląda jak zamczysko. Nie zgadzasz się z tym stwierdzeniem?

— Nie. Prędzej nazwałbym to fortecą.

Ponownie unosi brew, a ja odnoszę wrażenie, że brwi to jedyna część jego twarzy, którą ukazuje emocje. A jedyną emocją, jaką potrafi w ogóle ukazać, jest zaskoczenie. Śmieję się cicho z jego odpowiedzi i znów przygryzam wargę. Z czasem jego energia zaczyna mnie magnetyzować i jest to konsternujące.

— Skoro tak mówisz. — Wzruszam ramionami. — Mogę o coś zapytać?

— O co tylko chcesz.

— Masz tatuaż na skroni, który przechodzi na ucho i z tego, co zauważyłam, to sięga nawet szyi. A dalej się jeszcze z czymś łączy pod koszulą? I jeśli tak, to przepraszam, ale dokąd sięga? Uwielbiam tatuaże — paplam. — I jestem strasznie ciekawska z natury.

— Rzeczywiście, zadajesz wiele pytań — stwierdza. — Jednak jeśli chcesz odpowiedzi na to konkretne, musisz mnie rozebrać.

Zamieram. Czuję, jak moje policzki płoną, a on upaja się faktem, że mnie zawstydził. Nienawidzę się czerwienić i nienawidzę tego rodzaju zakłopotania. A fakt, że on jest z siebie wyraźnie zadowolony, wcale mi nie pomaga.

— Nie wstydz się — mówi. — Czerwone policzki są oznaką niewinności.

— Prędeż zażenowania. — Krzywię się. — Jest coś jeszcze, co miałabym dla ciebie zrobić?

— Znalazłoby się kilka rzeczy — przyznaje, oblizując wargę. — Jednak nie będę cię tym kłopotał. Możesz iść, dziękuję za tort, był imponujący.

Wstaje ze swojego miejsca i cierpliwie czeka, aż ja również podniosę swoje siedzenie w górę. Prostuję się więc bez ociągania i wbijam wzrok w jego tors. A konkretniej w kieszeń jego marynarki, na której widnieje przypinka z literą V. Uśmiecham się pod nosem. I najwidoczniej wzbudzam zainteresowanie mężczyzny, ponieważ powoli unosi dłoń do mojej twarzy i łapie mnie za brodę. Jednym ruchem zmusza mnie do spojrzenia w jego zimne oczy.

— Ile masz wzrostu? — wypalam.

A on wzdycha, wgapiając się we mnie z tej wysokości, i stara się mnie onieśmielić bardziej niż dotąd. Nie umiem jednak odwrócić wzroku. Jego tęczy są przerażające, ale mają przepiękny, brązowy odcień, który określiłabym jako barwę ciepłego miodu. Nie ma tam jednak ani odrobiny ciepła — z jego oczu wieje chłodną pustką

— Zadajesz za dużo pytań — szepcze.

— Przepraszam. — Uśmiecham się lekko.

— Nie masz za co.

Nie mam pojęcia, jak to skomentować, więc delikatnie ujmuję jego dłoń i odsuwam od swojej twarzy. Czuję, jak temperatura jego ciała miesza się z moją, która jest niska, i pragnę jęknąć. Jest gorący, a ja mam trupio zimne ręce.

— Pójdę już — mówię, ale czuję się raczej, jakbym pytała o pozwolenie.

Kiwa głową i zabiera mi dłoń, by zaraz położyć ją między moimi łopatkami. Delikatnym pchnięciem sugeruje, bym się ruszyła, i nie mija chwila, a my kroczymy przez salę prosto do kuchni. Czuję, jak spojrzania zgromadzonych kierują się na nas, ale staram się to ignorować. Skupiam się na fackie, że jego dłoń cały czas spoczywa na moich plecach. Jest niemal parząca.

Wchodzimy do kuchni, a wszyscy, dosłownie wszyscy, którzy w niej są, nagle zamierają. Gapią się na mężczyznę obok mnie z przerażeniem, więc ja również kieruję na niego wzrok. Patrzy na mnie. Cały czas po prostu na mnie patrzy. Cholera.

— Stanley — odzywa się, nie spuszczać ze mnie wzroku.

— Słucham — odpowiada brunet.

Zjawia się obok nas w mgnieniu oka. Jestem zaskoczona tym, jak szybko to zrobił. Też chcę być jak ninja.

— Czekaj na nas w samochodzie przed domem — instruuje Vincent.

Stanley kiwa głową, kładzie moją kurtkę na wózku obok nas i odchodzi. Odprowadzam go wzrokiem aż do drzwi i niepewnie spoglądam na Vincenta. Zaciska szczękę i patrzy przed siebie. Podążam za nim wzrokiem i dostrzegam pustą przestrzeń. Wszyscy pracownicy wyparowali. Przerażające.

Odsuwam się od niego i kieruję do butów, które leżą niechlujnie obok wózka. Pochylam się do nich i powoli wsuwam je na stopy. Czuję przeszywający wzrok mężczyzny na swoich nogach, ale usilnie staram się to zignorować. Moje pończochy zapewne zerkają na niego spod tej krótkiej szmatki. Cholera. Prostuję się, gdy buty grzeją moje zmarznięte stopy, i zakładam kurtkę. Gdy jestem gotowa, odwracam się do Vincenta z przygryzioną wargą.

— Nie przygryzaj — mówi chrapliwie. — Dlaczego nie miałś butów?

— Nie chciałam iść w traperach i tej sukience, bo wyglądałabym jak kretyнка. A szpilki to nie moja bajka — przyznaję. — Chociaż gdybym je założyła, może nie byłabym przy tobie takim karłem.

— Nie, nadal byłabyś o wiele niższa. Między nami jest około dwudziestu pięciu do trzydziestu centymetrów różnicy.

Pochyla się do poziomu moich oczu i wpatruje się w nie z uciążliwą intensywnością. Odwzajemniam to zaledwie przez kilka sekund. Później przesuwam wzrokiem po całej jego twarzy.

— Szmaragdy — szepcze lekkim głosem, a jego ciepły oddech owiewa moje wargi.

Słyszę, ale nie rozumiem. Skupiam się na ruchu jego ust i kompletnie głupieję. Nie wiem, o co mu chodzi, i nawet się nie zastanawiam. Jego wargi są nieprzeciętnie magnetyzujące. Nie chcę na nie patrzeć, ale nie mogę oderwać wzroku. Coś pierwotnego ciągnie mnie do nich i wręcz pcha do tego, by się pochylić.

Uspokój się, Valerio!

— Co? — pytam wysokim głosem.

Potrząsam głową i zamykam oczy. Musimy wyglądać jak idioci, stojąc naprzeciwko z oczami utkwionymi w siebie wzajemnie. Zwłaszcza że on zgina się prawie w pół przez fakt, że jest cholernie wysoki. Albo ja cholernie niska. Jedno z dwóch.

— Szmaragdy — mruczy i zbliża się jeszcze trochę. — Twoje oczy są szmaragdowe — dodaje wprost do mojego ucha.

Jego oddech odbija się od mojej skóry i wywołuje dreszcz. Uśmiecham się i bezmyślnie przyciskam policzek do ramienia. Chcę odciąć

mu dostęp do mojego wrażliwego punktu, ale zamiast tego łączę nasze twarze. Grzbiet mojego nosa przywiera do jego zarośniętej brody, na co parskam śmiechem. Czuję jego intensywny zapach dosłownie wszędzie, zupełnie jakby mnie osaczał, i jest to z jednej strony przerażające, a z drugiej cholernie pociągające. Pachnie jak kłopoty i seks. Jasna cholera.

— Mam łaskotki — tłumaczę.

Ale nie mam pojęcia, po jaką cholere.



## Rozdział 2

Środowe popołudnie spędzam ubrudzona po pachy mąką gryczaną, której zapach szczerze kocham. Jak co tydzień od prawie pół roku piekę sześć okrągłych ciast czekoladowych na bazie mąki gryczanej dla znajomych Jerry'ego. Prowadzą ogromną siłownię, a raz w tygodniu robią sobie tak zwany grupowy *cheat meal* i jedzą moje wypieki. Nie potrafię pojąć, jakim cudem nie mają ich dość.

Obracam dwie ostatnie formy w piecu i wzdycham, czując potrzebę zastrzyku kofeinowego. Kieruję się więc spokojnym krokiem do drzwi prowadzących do moich dzisiejszych kawiarni i wystawiam głowę, by któregoś zaczepić. Zauważam Waltera ostro dyskutującego z Josephem, który poleruje kubek z logo naszej kawiarni. Są tak zaaferowani, że nie zwracają uwagi na moją głowę, która wychyla się zza drzwi.

— Valeria! — dociera do mnie głos Jerry'ego. Jest dziwnie zmieszany.

Obracam głowę w jego stronę i zauważam Troya, który uśmiecha się do mnie tajemniczo. Nie mam pojęcia, dlaczego się spinam. Nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek go zobaczę.

— Troy? — Marszczę brwi.

— We własnej osobie. Co tam, mała?

Jego głos jest beztroski, dziwnie podniecony. Nawdychał się czegoś?

— Przyjechałeś na kawę?

— Nie, przyjechałem po ciebie. — Śmieje się.

— Kto ma dzisiaj urodziny?

— Ja. — Parska śmiechem. — Tak serio to przyjechałem okazjonalnie, bo Vincent tutaj jest. Stwierdziłem, że z chęcią zjem więcej twoich wypieków.

Spinam się na myśl o ciężącym spojrzeniu wspomnianego mężczyzny i wydymam wargę, by nie jęknąć. Naprawdę nie mam ochoty na spotkanie z nim. Zwłaszcza że Jerry bez przerwy o nim mówi, bo dostał za tort o wiele więcej, niż powinien.

— Więc na co masz ochotę?

— Nie wiem, wybierz coś. — Mruga. — I przyjdź do stolika, Vincent na ciebie czeka.

— Jestem cała w mące — protestuję. — Nigdzie nie idę.

— Więc on przyjdzie do ciebie. — Wzrusza ramionami.

Kieruje się w stronę stolików, a ja jęcę. Odwracam się do mojego stanowiska pracy i podchodzę do pieca, z którego muszę wyjąć formy. Jerry idzie za mną i bełkocze coś pod nosem, ale ignoruję to. Wyjmuję ciasta i wbijam w nie wzrok. Nie chcę widzieć Vincenta. Ten facet wzbudza we mnie niepokój i jakieś chore pragnienia. Jest zbyt... rozbiłający. Nie powinnam była myśleć o nim pół nocy.

— Młoda, ogarnij się i idź do nich!

Jerry łapie mnie za ramiona i odwraca w swoją stronę jednym ruchem. Przyglądam się jego twarzy z pytającą miną, ale on nie żartuje. Z tego, co pamiętam, zostałam zatrudniona na stanowisko cukiernika, więc niech sam sobie zamówienia przyjmuje i wydaje. Ja mu mogę najwyżej ukroić kawałek ciasta.

— Masz dwóch kelnerów — zauważam kąśliwie. — Ja jestem od pieczenia, nie od przyjmowania zamówień.

— Zdecydowanie jesteś twarzą tego miejsca — odzywa się głos od drzwi.

Spoglądam z przerażeniem na Stanleya, który pojawił się kompletnie z dupy, i odpycham od siebie swojego szefa. Parska śmiechem na moją gwałtowność, a brunet podchodzi na odległość metra. Staram się zgromić go wzrokiem, ale jestem przy nim jak to nieszczęsne kurczątko, którym mnie nazwali.

— Raczej ręką. — Mrużę oczy. — Zamówienia składa się przy ladzie.

— Zamawiam cukierniczkę z firmowym uśmiechem — prycha arogancko. — Idziesz ze mną do stolika.

Łapie mnie za rękę i bez mojej zgody po prostu ciągnie do wyjścia. Szarpie się, ale jedno jego spojrzenie studzi mój zapał. Jest przerażający, gdy chce, by się go bać. W co ja się wpakowałam?!

Wychodzimy na salę i kierujemy się na górne piętro, gdzie znajduje się niewielki, przeszklony balkon z kilkoma stolikami. Zauważam Troya siedzącego przy jednym z nich i zaraz moim oczom ukazuje się Vincent. Opiera się o barierkę na samym końcu tego pseudopomieszczenia i obserwuje ludzi pod sobą. Ma na sobie czarne, przetarte spodnie zwięzane w kostkach i czarną koszulę. Podwinął rękawy, przez co zwracam uwagę na umięśnione przedramiona i kawałek tatuażu, którym jest fragment gałęzi. Wygląda mrocznie i dostojnie. To niedobrze.

— Zaraz wrócę — oznajmia Stanley, co sprawia, że Vincent kieruje na nas swój znudzony wzrok.

Uścisk na moim nadgarstku znika i zaraz zostaję sama z przerażającym brunetem. Patrzy na mnie bez słowa, tak samo jak w sobotę. Jest nonszalancki i nachalny. Samym spojrzeniem daje mi do zrozumienia, że rządzi w tym miejscu, mimo że nie ma do tego żadnego prawa.

— Cześć — odzywam się w końcu, byle przerwać te milczące spojrzenia.

— Mam ci coś do powiedzenia — oznajmia, ignorując moje powitanie. — Usiądź.

Wskazuje miejsce przy stole, przy którym chwilę temu siedział Troy, i rusza w jego kierunku. Siada przy oknie, a ja podchodzę i zatrzymuję się obok niego. Nie siadam, ponieważ kanapy są obite materiałem, który łatwo się brudzi.

— Jestem cała w mące. — Marszczę nos. — Nie będę siadać. A poza tym pracuję, po co mnie tutaj zaciągnałeś?

— Usiądź — warczy.

Jego postawa zmienia się na groźną, a ja mam ochotę uciec. Przeraża mnie wielkość jego ramion i fakt, że mimo iż siedzi, jest niewiele niższy ode mnie.

— Jestem cała w mące — powtarzam z większą złością, która ma być na pokaz.

Próbuję być twarda, ale jego mrozące krew w żyłach spojrzenie wcale mi w tym nie pomaga.

— Gównu mnie to obchodzi.

Zaciskam zęby i zapieram się całą sobą, by nie stracić zimnej krwi i nie nawrzeszczeć na niego za bycie władczyim dupkiem. Zdejmuję fartuch utyłany w mące i odkładam na stół, obok jego ręki. Następnie otrzepuję niebieskie jeansy z resztek białego proszku i po wygładzeniu koszulki zajmuję miejsce naprzeciwko niego. Jest zniecierpliwiony i wkurwiony, co wnioskuje po pulsowaniu żyły na jego szyi.

— Więc? — Unoszę brew.

— Wracam do domu w piątek, a ty jedziesz ze mną — oznajmia.

Jego głos jest szorstki, wyraźnie słyszę w nim złość spowodowaną moimi sprzeciwami i głupieję. O czym on, do cholery, do mnie mówi?

— Nie rozumiem.

— Nie obchodzi mnie to. Możesz się przygotować i zabrać potrzebne rzeczy lub zrobimy to po mojemu. W tej kwestii daję ci wybór.

Przyglądam mu się z konsternacją i próbuję zrozumieć jego słowa, ale nie mam zielonego pojęcia, o co, do cholery, chodzi. Sądzi, że kim jest, by wydawać mi polecenia? Gdzie niby mam z nim pojechać? Do jego zamczyska? Po co?

— O czym ty mówisz? — pytam.

— O twoim nowym życiu.

— Jakim nowym życiu, do cholery? — Mrużę oczy.

— Nie przeklinaj. — Zaciska zęby.

— Nie rozkazuj mi.

— Nie prowokuj mnie.

— Jesteś kurewsko frustrującym mężczyzną — zauważam. — Wracam do pracy.

Podnoszę się z miejsca z zamiarem wyjścia, ale nie robię ani kroku. Jego palce oplatają mój nadgarstek i skutecznie mnie unieruchamiają. Czuję ciepło, które bije od jego ciała, ale wcale mi to nie pomaga. Jego uścisk jest uciążliwy i przepełniony wkurwieniem, które doprowadza

mnie do szewskiej pasji. Nienawidzę, gdy ktoś mi rozkazuje. Zwłaszcza ktoś, kogo nie znam.

— Miałaś nie przeklinać. — Mruży oczy.

— Możesz mnie puścić i zniknąć? Proszę.

— Nie, nie mogę. Usiądź, jeszcze nie skończyłem.

— Ale ja nie mam nic więcej do powiedzenia — burczę.

Siadam na miejscu i z irytacją wgapiam się w jego przerażające zimne oczy. Nie wiem, czy chce mnie przestraszyć, czy zamordować tym wzrokiem, ale nie łamię się. Dzielnie wytrzymuję, bo widzę w nim coś, co znam. Albo tak sobie wmawiam, bo jest ode mnie dwa razy większy.

— W piątkowe popołudnie przyjedzie pod twój dom Stanley, a ty spakowana grzecznie wsiądziesz do samochodu — mówi. — Jeśli będziesz stawiała opór lub nie wyjdiesz, gdy podjedzie, osobiście wsadzę cię na tylne siedzenie.

— Kim ty jesteś, co? — Wpatruję się w niego wściekle. — Z tego, co mi wiadomo, to ani moim ojcem, ani matką.

— Moja rola w twoim życiu pozostanie na razie tajemnicą — mówi wymijająco. — Masz jakieś inne pytania? Z chęcią posłucham.

— I tak mi nie odpowiesz — pryham.

— Ale chętnie posłucham.

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Więc możesz milczeć, nie przeszkadza mi to.

Nie wytrzymam.

— Kim jesteś? — Krzywię się. — Rozumiem, że masz dużo pieniędzy, ale w którym momencie ja podpisałam jakiś dokument, by się ubezłasnowolnić? Nie znam cię i nie wydaje mi się, byśmy mogli się zaprzyjaźnić.

— Dlaczego?

— Nie lubię ludzi, którzy patrzą na mnie z chęcią mordy. — Uśmiecham się kpiąco.

— Nie zabiję cię.

— Dzięki — pryham. — To szalenie łaskawe z twojej strony.

— Nie dąsaj się, Emerald\*.

— Emerald? — Uśmiecham się głupekowato, co nie uchodzi jego uwadze. Moja złość zamienia się w zaciekawienie. — Dlaczego nie po imieniu?

Wzrusza ramionami i wydaje się w tym geście dziwnie chłopięcy. Odpuszczam i robię to wyłącznie dlatego, że słyszę w oddali głos Jerry'ego. I goryli Vincenta, ale oni obchodzą mnie w tym momencie najmniej.

— Vincent — mówię, a on przenosi spojrzenie z moich ust na oczy.

Unosi brew, oczekując na dalszą część mojej wypowiedzi, ale nie odzywam się. Jerry stawia przede mną filiżankę z białą kawą, a przed moim towarzyszem z czarną. Po chwili serwuje dwa kawałki ciasta marchewkowego przełożonego moją ulubioną masą. Uśmiecham się na widok słodczy.

— Jerry. — Spoglądam na szefa. — W małym piecu są ciastka korzenne, wyjmij je i przełóż na tacki, a później przynieś mi na spróbowanie kilka. Nie jadłam ich jeszcze.

— Jasne, młoda.

Całuje mnie w czoło i zaraz znika. Kieruję spojrzenie z powrotem na Vincenta i pierwsze, co dostrzegam, to jego pulsująca na szyi żyła. I zaciśnięta, kamienna szczęka.

— Jesteś zły? — pytam głupio.

Mruży oczy, lecz nie odpowiada. Jego ciężki wzrok spoczywa na mojej twarzy i wypala w niej dziury, ale z całych sił staram się to ignorować. Zajmuję się swoją kawą. Jest mocna, na szczęście mleko idealnie ją odciąża.

— Zaczęłaś coś mówić — warczy.

— Jak masz na nazwisko?

— Jestem Vincent, tyle ma ci wystarczyć.

— Ale nie wystarczy. — Wydymam wargę. — Dlaczego to jest tajemnica?

---

\* Emerald (ang.) — szmaragd.



— Nie wiem, zapytaj mojego ojca. — Mruży oczy.

— Wolę zapytać ciebie.

— Nie odpowiem ci, niestety.

— Więc jest mi szalenie przykro — wzdycham.

Wbijam widelec w ciasto i nabieram sporą porcję, która zaraz łąduje w moich ustach. Kocham ciasto marchewkowe, więc automatycznie uśmiech wypływa na moje wargi.

— Uśmiech nie jest znakiem przykrości — zauważa Vincent.

— Może to śmiech przez łzy?

— Nie, twoje oczy mówią co innego.

— Co? — Podnoszę wzrok na jego twarz.

— Lubisz to ciasto.

— Lubię, ty też polubisz, jest pyszne.

— Nie wątpię w to. — Unosi brew. — Wygląda imponująco.

— O torcie mówiłeś to samo — zauważam z pełną buzią. — W ogóle masz dwadzieścia osiem lat, a sprawiasz wrażenie o wiele starszego. To przez tę wyższość, która od ciebie bije? Czy może wcisnąłeś mi ściemę?

— Nigdy nie posądzaj mnie o fałsz. — Mruży oczy. — Nie toleruję kłamstwa, a każda próba oszukania mnie źle się kończy.

— Jesteś bardzo specyficznym mężczyzną — wzdycham. — Spróbuj ciasta, rozluźnisz się.

— Uważasz, że jestem spięty?

— Tak, zdecydowanie tak uważam. Jestem pewna, że masz spięte barki.

— Po czym to wnioskujesz?

— Moja kobieca intuicja nigdy się nie myli. — Mrugam.

— Sprawdź.

Krzyżuje ręce na torsie i patrzy na mnie wyzywająco. Czuję podstęp lub sobie go wmawiam, nie jestem pewna. Jednak widzę, że to pewnego rodzaju sprawdzian. Postanawiam się poddać. Wstaję z miejsca i powoli wychodzę zza stołu, a następnie staję za nim. Kładę dłonie na jego twardych ramionach i ściskam.

— Są jak kamienie. — Śmieję się. — To mięśnie czy naprawdę jesteś aż taki spięty?

Odchyła głowę w tył i patrzy na mnie z dołu nieodgadnionym wzrokiem. Jest niemożliwie blisko, a ja znów kieruję spojrzenie na jego wargi. Są tak paskudnie magnetyzujące, że nie umiem się powstrzymać. Przesuwam dłonią z jego ramienia na szyję, a z niej po uchu aż na policzek i usta. Są takie, jak sądziłam. I nie wiem, czy mnie to bardziej podnieca, czy przeraża.

Dlaczego ja się nie hamuję przy tym człowieku?

— O czym myślisz? — mruczy nisko.

Oblizuję dolną wargę i decyduję się spojrzeć w jego oczy. Są zamglone.

— Myślę o tym, że masz miękkie usta.

— I co w związku z tym?

— Nic. — Uśmiecham się szeroko. — Po prostu chciałam to sprawdzić już w sobotę.

— Więc dlaczego nie sprawdziłaś?

— Nie miałam tyle odwagi.

— Skąd więc wzięła się teraz?

— Nie mam pojęcia. — Śmieję się. — Co to za przesłuchanie?

Odsuwam się od niego i leniwie wracam na swoje miejsce. Czuję się odrobinę pewniej po tym zbliżeniu, ale nie mam pomysłu dlaczego. Może przez fakt, że pozwolił mi się dotknąć i już nie wydaje się takim zimnym, niedostępnym głazem? W zasadzie teraz dodałabym mu jakieś dziesięć punktów do atrakcyjności.

— Czysta ciekawość.

— Ciekawość to pierwszy stopień do piekła — zauważam. — Coś jeszcze cię ciekawi?

— Wiele. Jednak to nie jest odpowiedni czas na zaspokajanie mojej ciekawości.

— Skoro tak twierdzisz.

Łapię widelec i skupiam się na cieście. Zdecydowanie jest wyśmienite, a ja jestem obrzydliwie skromna. Moje ciasta są z każdym tygodniem coraz lepsze i coraz bardziej moje. Nikt poza mną nie wtrąca się w moją

pracę, ponieważ bazuję na tajnych przepisach babci i dopieszczam je według własnego uznania. Jej wypieki są, były i zawsze będą majstersztykiem.

— Valerio, przyniosłem ciastka od Jerry'ego — odzywa się Troy.

Jego głos wybudza mnie z transu. Unoszę wzrok znad ciasta i kieruję go najpierw na Vincenta, który raczy się kawą, a później na szatyna trzymającego w dłoniach ozdobny talerz z ciastkami korzennymi.

Odbieram talerz i uśmiecham się szeroko, widząc, jak pięknie wyrosły. Mimo skomplikowanego kształtu nic się nie zdeformowało.

— Próbowaleś? — pytam z ciekawością.

Troy wzrusza ramionami i usilnie próbuje ukryć cwaniacki uśmiešek, który ciśnie mu się na usta.

— Wnioskuję po twojej minie, że tak. — Demaskuję go. — I jak?

— Głupie pytanie. — Przewraca oczami. — Są świetne, pochłonęliśmy połowę tej metalowej tacki — prycha.

— Co?! — Podnoszę się gwałtownie.

Odkładam talerz na stół z głośnym dźwiękiem i mierzę go przerażonym spojrzeniem. Mam szczerą nadzieję, że żartował. Jeśli nie, to marny jego los.

— No co? — Parska śmiechem. — Nie mogłem się zatrzymać, powinien być większe.

— Ile ich zostało? — jęczę. — Zresztą zamknij się — syczę ze złością. — Zabiję was!

Wychodzę zza stolika i pędem ruszam w stronę schodów, z nich na salę główną, a później do mojego stanowiska pracy. Stanley z Jerryem nadal zajadają się ciastkami. Kurwa, brakuje połowy! Ja chciałam tylko kilka sztuk na spróbowanie, a nie, żeby pochłonęli pół blachy!

— Jerry, pojebało cię?! — krzyczę sfrustrowana.

Bardzo rzadko używam tak mocnych słów, ale teraz po prostu mam ochotę go udusić.

— O co ci chodzi? — Krzywi się.

A Stanley mruży ostrzegawczo oczy.

— Prosiłam, żeby kilka spróbować, a nie pochłaniać połowę pieprzonej blachy! To były ciastka na zamówienie, kretynie! — Spoglądam na zegarek i piszczę. — Na za niecałą godzinę! Jak to wytłumaczysz?!

— Jak to na zamówienie? — Wyrzeczca oczy.

— Normalnie, kurwa!

— Nie przeklinaj — warczy Vincent, który pojawia się za mną. Zdecydowanie za blisko.

Spoglądam na niego wściekle i zaraz wracam wzrokiem do Jerry'ego. Jest sfrustrowany, bo dotarło do niego, że zamówienie było ważne. Jak każde, które realizuję!

— Won z mojej kuchni — krzyczę, wymachując rękami. — Mam mało czasu!

Jerry patrzy to na mnie, to na Vincenta i nie wie, co ma zrobić. Ja ignoruję wszystko i wszystkich i po prostu kieruję się do chłodni, w której została resztkę ciasta. Nie wyjdzie mi z niej pół blachy, ale przynajmniej braki nie będą kłuć w oczy. Jestem zdesperowana.

Wracam do ogromnej stolnicy z oprószonym mąką ciastem i uśmiecham się, gdy nikogo nie ma w zasięgu mojego wzroku. Przez chwilowe ugniatanie nerwy wracają mi do normy. Skupiam się na cieście i jest to bardzo satysfakcjonujące. Kocham moją pracę.

— Nie wyglądasz na taką nieokrzesaną — szepcze Vincent do mojego ucha.

Podskakuję w miejscu, wydając z siebie przerażony pisk, i gwałtownie odwracam twarz w jego stronę. Mój nos styka się z jego zaróżnionym policzkiem i doprowadza mnie to do szału. Co on, do cholery, robi? Kolejny ninja?! Zaciskam powieki. Jestem sfrustrowana sposobem poruszania się tych mężczyzn. Ja nie umiem chodzić, jakbym się unosiła nad podłożem!

— Emerald — mruczy i łapie moje biodra.

Zaciska na nich palce o wiele za mocno, ale, o dziwo, wcale mnie to nie przeraża. Jego władczy dotyk działa na mnie pobudzająco i gwałtownie przyspiesza mój oddech oraz pracę serca. To niedorzeczne:

ten mężczyzna się rządzi, jest onieśmielający i jeszcze mnie dotyka, a ja nie mam z tym problemu!

— Do zobaczenia w piątek — mówi spokojnym głosem, przesuwając kciukami po moich kościach biodrowych.

Po tym całuje mnie w policzek, przez dłuższy moment trzymając gorące wargi na mojej skórze, i dopiero odchodzi.

Jestem rozpalona.



# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 

# DZIEWCZYNA O OCZACH JAK SZMARAGDY. MĘŻCZYZNA TWARDY JAK DIAMENT

Życie Valerii upływa wśród słodczy. Dosłownie, nie w przenośni — dziewczyna jest cukierniczką, wyjątkowo zdolną, jeżeli wierzyć klientom. Niektórzy mówią też, że Valeria jest równie słodka jak torty, które wychodzą spod jej ręki.

O Vincencie można powiedzieć wiele, ale nie to, że jest słodki. Kiedy pojawia się w cukierni, w której pracuje Valeria, dziewczyna odczuwa pewien... niepokój? Strach? A może nawet fascynację? Na pewno ciekawi ją ten małomówny twardziel. Nie wie jeszcze, że będzie miała okazję poznać go bliżej, niekoniecznie dobrowolnie. Bo Vincent ma plany związane z Valerią i nie ma w nich pytania jej o zgodę. Plany, za którymi kryje się stara tajemnica, skryta głęboko, jak głęboka jest zieleń oczu dziewczyny...

Tę sensacyjną i romantyczną historię na Wattlepadzie pokochało ponad pół miliona osób — teraz możesz ją poznać i Ty!

Patroni medialni:



Książkowe  
**PERŁKI**  
BOOKSTORAM




LITERATURA  
*Zmysłów*

 **editio**red

ebook dostępny na:  
**ebookpoint**



 **Księgarnia internetowa:**  
<http://editio.pl>

Sprawdź najnowsze promocje:  
● <http://editio.pl/promocje>  
Książki najchętniej czytane:  
● <http://editio.pl/bestsellery>  
Zamów informacje o nowościach:  
● <http://editio.pl/nawosci>

 **Zamówienia telefoniczne:**  
**0 801 339900**  
 **0 601 339900**

Helion SA  
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice  
tel.: 32 230 98 63  
e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)  
<http://editio.pl>

ISBN 978-83-283-7899-5



Cena 44,90 zł